

Problemy wiejskich szkół

Zaraz po studiach byłem wiejskim nauczycielem. Sporo się wtedy nauczyłem o wiejskim szkolnictwie, a wydaje się, że od tego czasu, jeżeli się coś zmieniło, to na gorsze. Wówczas jako magister fizyki miałem prawo do nauczania fizyki i matematyki. Dodatkowo dyrektor szkoły mógł powierzyć nauczycielowi (za odpowiednią zgodą) nauczanie przedmiotu, do nauczania którego nie miał uprawnień (mnie na tej zasadzie trafiła się raz plastyka). Teraz to już niemożliwe. A szkoda. Niestety, rządzący edukacją to z zasady mieszkańcy wielkich miast i, jak się zdaje, nawet nie zauważają, że szkoła wiejska działa w innych niż wielkomiejskie realiach. Rzecz w dużej mierze sprowadza się do demografii. W wielkim mieście system szkolny może być w zasadzie dowolny – można zorganizować szkołę „od żłobka do matury”, a zupełnie przyzwoicie może też działać coroczne przechodzenie do innej szkoły. Zgoda, niektóre z takich systemów będą uciążliwe, niemniej istotniejsze będą szczegóły organizacyjne i w praktyce dowolny system, byle nieźle dopracowany, będzie do przyjęcia.

Na wsi jest inaczej. W Polsce dzietność wynosi do brze poniżej procenta, czyli by móc z jednego rocznika stworzyć klasę, trzeba ponad dwutysięcznej populacji. W klasie, gdzie uczy się mój wnuk, jest szesnaścioro dzieci. A wieś wg Wikipedii ma 3014 mieszkańców, czyli ogromna wieś. W bardziej typowej sytuacji, by zorganizować normalną szkołę, trzeba zebrać dzieci z kilku, a nawet kilkunastu wsi. Kilka lat temu usłyszałem od Koleżanki uczącej w wiejskim gimnazjum, że do jej szkoły chodzą dzieci z 13 wsi. A to duża wieś, leżąca zaledwie kilka kilometrów od prawie stutysięcznego miasta. Jest oczywiste, że dla kilku uczniów w roczniku nie da się zorganizować normalnej szkoły, czego skutkiem muszą być wielokilometrowe dojazdy. W praktyce oznacza to konieczność sąsiedzkiej pomocy, by dzieci przewieźć, a i tak dziecko musi czekać w świetlicy, by przyjechał ktoś z jego wsi. Wnuk mi opowiadał, że w jego klasie są przypadki, gdy po dziecko przyjeżdża rodzic i zawozi je do swej pracy, gdzie uczeń czeka, aż rodzic ukończy pracę.

Chyba jeszcze gorzej to wygląda od strony nauczyciela. By wypracować etat, trzeba uczyć w kilku szkołach. Oczywiście w różnych wsiach. Mając samochód, problem tylko kłopotliwy. Ale w okolicach może tych godzin nie być i wówczas nauczyciel ma tylko część etatu. Tu warto zwrócić uwagę, że jeżeli w programie obecnej ośmioklasówki na naukę fizyki przeznaczono cztery godziny tygodniowo, to etat oznacza pracę w czterech szkołach i to pod warunkiem uzupełnienia etatu dwoma wychowawstwami. I dopiero to ostatnie wskazuje na najpoważniejszy problem. Nauczyciel wpada do szkoły uczy i natychmiast wsiada w samochód, by zdążyć na lekcje w sąsiedniej wsi. Często nawet nie może uczestniczyć w konferencji. Dlatego wychowywanie jest utrudnione. Gdy pojawi się jakiś problem, to albo trzeba czekać, czasem kilka dni, aż wychowawca będzie w szkole, albo problem musi za niego załatwić kto inny. Oczywiście nie

budzi to entuzjazmu, bo w praktyce cała praca wychowawcza spada na 2–3 nauczycieli mających więcej godzin w danej szkole. Oni też obarczeni są prowadzeniem całej administracji, organizowaniem akademii, wycieczek itp. Warto jednak zwrócić uwagę na drugą stronę medalu. Klasy są małe, a zasiedziały na wsi nauczyciel zna nie tylko dzieci, ale i ich rodzinę (najczęściej uczył rodzeństwo ucznia, a często i jego rodziców). Dlatego problemy wychowawcze są rozwiązywane zwykle szybko i z wyczuciem. To zupełnie inaczej niż w ogromnej miejskiej szkole, gdzie bywa, że nauczyciel może mieć ponad tysiąc uczniów!

Podsumowując, aby przyzwoicie kształcić, system powinien być dopasowany do rzeczywistości. Elementarna szkoła powinna być jak najbliższej ucznia. Powinna być niewielka, licząca kilkudziesięciu uczniów z kilku roczników (4–6) oraz 2–3 nauczycieli uczących wszystkich przedmiotów. Warto zauważyć, że przyzwoicie wykształcony człowiek może – na tym poziomie kształcenia – uczyć prawie wszystkiego. A 11–13-latek może jeździć do nieco odleglejszej szkoły, gdzie spotka się z bardziej wyspecjalizowaną kadrą. Dlatego system, w którym funkcjonowało zarówno gimnazjum, jak i liceum, był bez porównania lepszy od obecnego. Zławsza, że na młodego człowieka bardzo pozytywnie wpływa nauczanie się wchodzenia w nowe środowisko – zmiana szkoły, wprowadzenie stresująca, w perspektywie całego życia jest korzystna. Dodatkowo zmiana szkoły pozwala na jej różnicowanie i możliwość wyboru. Np. wyobrażam sobie kończenie gimnazjum pół roku wcześniej pod warunkiem opanowania obszerniejszego programu i przejście wcześniej do liceum z rozszerzonym programem, też pół roku krótszego. Oczywiście wiem, że zaraz pojawiłyby się głosy, że to zamykałoby pewne drogi w bardzo młodym wieku. Ale to nieprawda. Wystarczyłoby, by młody człowiek, zauważwszy, że coś mu w życiu ucieka, dostał możliwość nadrobienia materiału, tym razem przez dodatkowe pół roku nauki. W taki sposób zysk byłby potrójny. Po pierwsze mielibyśmy grupę dobrze wykształconych ludzi. Po drugie rok wcześniejsze opuszczenie szkoły przez tych uczniów. I po trzecie rozsądniejszych obywateli – pamiętajmy, że nadmiernie długi pobyt w szkole opóźnia dojrzewanie.

I w końcu ostatni argument. Zarządzający oświatą, zwykle mieszkańcy wielkich miast, powyższe uwarunkowania uważają za margines, bo w swoim otoczeniu tego nie widzą. A mniej więcej połowa mieszkańców Polski mieszka na wsi i w niewielkich miastach (np. Opatowiec ma 336 mieszkańców na dzień 1 stycznia 2021). W wielkich miastach żyje zaledwie około jednej trzeciej ludności Polski. A więc z ilościowego punktu widzenia przede wszystkim należałoby myśleć o edukacji wiejskiej. Tym bardziej, że w wielkim mieście, jak już powiedziano, każdy system, aby trochę przemyślany, może działać poprawnie. Co na wsi już nie jest prawdą.

JERZY KUCZYŃSKI

Wyższa Szkoła Techniczna w Katowicach

